# HRABIA HAKELBERG
albo
## Rycerz sierzpa.
powieść *Blumenhagena.*



Nie wszędzie zarówno i nie w jednym czasie, oświecenie rozkrzewiło się w Niemczech. Północna strona długo jeszcze za południową zdążyć nie mogła w cywilizacyi, zapewniającey bezpieczeństwo dla mieszkańców, a pokóy dla cudzoziemców. Stan dzikości północnych krajów niemieckich nie nader oddalony jest od nas; w zszarzałych zwaliskach znaydujemy jego pomniki, a w kronikach, chociaż w trudnym do zrozumienia dla nas języku pisanych, objaśnienie tych pomników. Nieprzebyte lasy sosnowe tam się wznosiły, gdzie dzisiay pośród niw złocistych i kwitnących ogrodów ludne rozciągają się wioski; ogromne, mchem porosłe wały zalegały wierzchołki gór, z których dopiéro wesołe miasteczka, bez baszt i przekopów, spuszczają się ku zielonym dolinom; miast nie łączyły jeszcze równe i wygodne drogi. Człowiek przestawał na takiey drodze, jaką mu samo przyrodzenie utorowało: ani biédny piechur, ani bogaty jeździec, bynaymniey się nie frasowali o to, czyli ich droga prowadzi przez ostre kamienie, czyli przez grzązkie bagno. Nieznane były natenczas ani okazałe, wygodne karety, ani też lekkie powozy pocztowe; biskupi tylko i żony książąt udzielnych, przejeżdżając z jedney stolicy do dru-

giey, używali rydwanów, których koła gruntowne i mocne, bez szwanku wytrzymywały silne trącania o mnóstwo kamieni, zasianych na drodze, oraz na każdym kroku spotykane koleiny i wyboje. Dwanaście wykarmionych koni, powoli ciągnęło taki ciężar po pniach i korzeniach drzew, i przez rowy, spadem górnych strumieni wybite.

Kupcy tylko tracili na tak złym stanie dróg publicznych. Wprawdzie wysoko ich wszędzie poważano. Miasta, potężnym związkiem hanzeatyckim z sobą połączone, okazałością i przepychem przewyższały stolice książąt; warownieysze były od ich zamków, a zamieszkane przez walecznych obywateli, umiejących bronić od napaści wszelkiey praw swoich i okopów; lecz za murami miasta, musiał kupiec z niemałemi walczyć trudnościami. Zatrzymywany na każdym prawie kroku, śród ciągłych niebezpieczeństw, wlekł się z kosztownemi towary, od miasta do miasta, a wszędzie dotkliwych doznawał niewygód. Nigdzie nie było gospody dla przytułku. Wioski, były to kupy szałaszów, w których drwale, i inni robotnicy, po dziennych trudach szukali odpoczynku; zamki rycerzy i szlachty, jak małe twierdze, były niedostępne, i leżały pospolicie, w głębi lasów, albo na urwiskach gór, daleko od bitego gościńca. Klasztorom nieśmiał także powierzać się mieszczanin; bo często łakomy opat, albo chciwy przeor, niemniey od szlachty do bogactw światowych przywiązany, z równą zawiścią spoglądał na bogactwa miast, a przez to na wzrastającą ich siłę i potęgę. Takim to sposobem, biedny kupiec, pozbawiony obrony, chociaż go za drogą opłatą liczny orszak zbroynych od mia-

sta do miasta przeprowadzał, narażał się na napaści włóczęgów, czatujących z każdey zasadzki, a bardziey jeszcze rozbojem bawiących się rycerzy, którzy z kamiennych legowisk swoich strzegli dróg wszelkich, wymagali od przejeżdżających złotey daniny, a w przypadku odmowy, porywali i ludzi i towary, i dopóty tych trzymali w swoich zamkach, dopóki żądany wykup nie oswobodził nieszczęśliwych z przykrey niewoli.

W tych to czasach, u spodu gór, Harcem mianowanych, gdzie dzisiay zaledwie trochę lasu daje się spostrzedz, a roskoszne łąki stykają się z powabnemi wioseczkami, kupiecka karawana musiała z przyczyny złamanego koła, zatrzymać się na drodze, przez puszczę idącey. Nad dwoma, białém płótném pociągniętemi brykami, powiewała chorągiewka barwy miasta Frankfortu, i jaśniał herb tegoż miasta. Dwóch kupców, z krótkimi szpadami u boku, jechało na opasłych mułach, których głowy ozdobione były czerwonemi piórami, a szyje dzwónkami srebrnemi. Konwóy karawany składał się z cztérech jezdzców z potężnego miasta Gietyngi, pod dowództwem Towarzysza woyskowego: stalowe hełmy żołnierzy, tudzież żelazne ich kopie, żywo odbijały blask promieni południowego słońca. Kupcy jechali z Frankfortu na wielki jarmark Brunświcki, a spocone i pianą okryte konie w zaprzęgu, świadczyły, że w pakach naładowanych nie fraszki bydź muszą.

Pękło tylko tylne koło: wszyscy silili się drągami podnieść obładowaną brykę, zdjąć uszkodzone koło, a natomiast włożyć będące w za-

pasie. Przewodnicy przeklinali nieostróżnych woźniców, a ci piekielną drogę; kupcy, uwiązawszy mułów do niskiey, karłowatey jodły, dobyli podróżną, trzciną opleconą flaszę i srebrny kubek, i zaprosili towarzysza woyskowego żeby usiadł z nimi pod cieniem dębu i wypił dobrego wina reńskiego za szczęśliwą podróż.

Posępna twarz starego żołnierza wypogodziła się nieco, gdy mu podano kubek; jednakże, nie wyymując nogi ze strzemion, posępnie i z niespokoynością poprowadził wzrokiem po krętey drodze, zsiadł z konia, włożył powód na rękę, dobył miecza, wetknął go w ziemię przy sobie, i powoli zbliżył się ku pagórkowi, drobną i twardą trawą zarosłemu. Kupcy dostrzegli jego niespokoyność i trwożliwie zapytali o przyczynę.

„Waszmość, jak widzę, nigdy nie jeździliście tą drogą"— odpowiedział Gietyngski towarzysz, ocierając duże krople wina z wąsów swoich— „inaczey nie siedzielibyście tak spokoynie w tém mieyscu, gdzie Hrabiowie na Harcu pokazują się i giną, jak zły duch o północy. Oprócz tego to pasma gór, gdzie każdy zamek jest jaskinią łotrów, nie znam w całym Brunświckim okręgu, gorszego i straszniéyszego, nad to, mieysca."

Strwożeni kupcy skwapliwie powstali, i zbledli chowali srébrny kubek do podróżnego tłumoka. „Zdaje się nam jednak, iż jesteśmy na ziemi trzech potężnych i sprawiedliwych Monarchów," rzekł z nich starszy. „Za nami spokoyne miasto Nordheym; wszędzie śród lasu widać wioski, a na górach klasztory i zamki rycerskie, całe niepodobne do siedlisk rozboyników?"

—„Nie wszystko złoto, co się świeci” sucho odpowiedział Towarzysz. „Szlachta i mieszczanie żyją teraz z sobą jak pies z kotem. Tłusty książe Albrecht pan mądry, radby pohamował wszystkie rozboje po drogach; ależ tam ten za Leyną, dziwny człowiek; przez palce patrzy na dzieła swoich wassalów i pozwala im gospodarzyć w swoich posiadłościach, by w ich własnym domu, jak gdyby nie było nad nimi ni Boga ni pana. Patrzcie waszmość, ile tu zarosłych pagórków, tyle śmierci dla biednych podróżnych! Czy widzicie ten siwy wierzchołek? Nazywa się Harc-horn. Tam Hrabiowie Dudonowie, jak tygrysy, chciwie wyglądają łupu; szara baszta nad kopułą kamienną, za nami, jest mieszkaniem Olwartshausena, nazywanego w biegu jeleniem i wilkiem rogatym, a ot tam, przed nami w lewo, wysoka góra nad wioseczką Degerode, nazywa się Kolberg; w jey rozpadlinach cała Tatarska horda ukryćby się mogła. Tu główny przytułek wszystkich szlachetnych jastrzębi i sępów. Od roku już mieszka tam, tak nazwany Czart pancerny, naystraszniejszy ze wszystkich hrabiów całego Harcu, Hakelberg. Wszędzie on jest i nigdzie z przeklętém swém myśliwstwem, stał się postrachem całey okolicy, bo jego banda nie oszczędza ani kupców, ani sług kościoła, ani też biedaków w pocie czoła na kilka groszy pracujących.

„Hakelberg?” skwapliwie zapytał młodszy. „Panie Hartmanie! czy nie o nim powiadano nam w Gietyngskiey gospodzie?” „Zaiste, odpowiedział starszy, „o nim to właśnie powiadał ów rayca, że przed kilką miesięcy, nad strumieniem

Ibergskim, ten Czart pancerny wpadł w ręce rycerzy xięcia Albrechta, że oswobodził się ciężkim tylko okupem i przysięgą: nie dobywać nigdy miecza swojego dla rozboju po drogach."

—„Rayca powiedział prawdę" rzekł żołnierz, „ale nie lepiey był świadom tey rzeczy nademnie. Ja sam byłem na tey obławie, i gdybym arkanem nie ściągnął z konia tego rozboynika, wieleby jeszcze krwi przelało się, a Ibergski strumień nie nosiłby może imienia Heynichowego."

„A to takiego bezbożnika nie wypuszczać żywego z petli" przerwał kupiec. „Dobry łowiec, złapawszy jastrzębia, nie puszcza na wolę, ale przybija go do bramy, na postrach jemu podobnych. Lecz wasza szlachta i rycerze, jedna to szayką: kruk krukowi oka nie wykluje, choć się i żwawo wezmą za czuby."

—„Bo i cóż pomoże jego słowo" mówił daley żołnierz. „Chociaż sam przysiągł nie rozbijać, ale może wypuścić na nas ze sto mieczów, i ja słyszałem, że przeklęte myśliwstwo niedawno pokazało się znowu. Nadaremno waszmość pożałowaliście mieszka: lepiey było zapłacić w Nordheymie jedną marką srebra więcey, a sześciu jezdców pomnożyłoby nasz orszak. Jeżeli wasi ludzie spoźnią się z tém pękniętém kołem jeszcze na kilka pacierzy, a straż z baszty Harchornu nas zoczy, wtenczas nie ręczę, czy udą się nam dostać do poczciwego gospodarza oberży Gandersheymskiey, a boję się, żebyśmy nie wpadli na łaskawy chleb do Herlingerburgu, lub do inney podobney smoczey jamy."

Nie zawiodło przeczucie starego żołnierza. Ostatnie słowo było jeszcze na jego ustach, gdy

z pozakrzaków świsnęła strzała, i przeszyła go w tém mieyscu, gdzie naszyynik łączy się z pancerzem.

„Tam do biesa: otoż i on!"... jęknął ciężko raniony. Porwał miecz — ale stal jasna wyślizgnęła się z ręki i upadła obok w tryskającą krew: siły starca gasły razem z ciepłym strumieniem życia.

Krzyk okropny rozlegał się po lesie, ze wszech stron wysypali się zbroyni mężowie dzikiego weyrzenia. Wzrostu niskiego, ale barczyści i silni; pokudłane brody zakrywały surowe ich oblicze. Czarne, skórzane kirysy, hełmy ze skrzydłami kruczemi, rdzą pokryty oręż, składały ich uzbrojenie. Z okrzykiem: „Heynicho tu i jego myślistwo!" wypadli na drogę i otoczyli zdobycz upatrzoną, jak ogary struchlałego jelenia.

Zbledli kupcy, stanęli przy brykach i dobyli zgrabne swoje szpady. Ale stal cieńka młódszego skruszyła się pod piérwszém cięciem szerokiey szabli jednego z leśnych wojowników, a starszy upuścił z rąk szpadę, spoyrzawszy na dwóch dowódzców bandy. Obay byli wzrostu olbrzymiego, acz odmienney postaci.

Jasna, kunsztownie wyrobiona stal pokrywała jednego; światła broda, zwyczajem młodych podstrzyżona; a zielone pióra spadały z hełmu, na kark gniadego, lśniącego się konia. Drugi od stóp do głowy pokryty był czarnym żelazem; czarny jak smoła rumak ciężko dyszał pod silnym jezdzcem; całą ozdobę strasznego wodza składały dwa zaśniadłe, srebrne rogi u hełmu, i srebrna trupia głowa, zamiast herbu, na tarczy. Naybardziey zaś zwracał oko miecz podobny do

sierzpa, z wgiętém ku środkowi ostrzem i srébrną rękojeścią, oraz dwa sznurki buynych pereł, właściwsze zdobić szyję piękney niewiasty, niżeli żelazny naszyynik pancernego.

„Chwytaycie źwierzynę!” zawołał czarny rycerz, głuchym, lecz daleko rozlegającym się głosem, i wywijając ogromną kopiją, wybiegł na drogę. Daremne były jego słowa; banda dokazała już swego. Przelęknionych kupców obalono na ziemię; jeden ze służby stajenney, co się odważył zranić napaśnika, pływał we krwi swojey, z rozszczepioną czaszką, pod kopytami koni; tu i ówdzie wyciągano z pod wozów, kryjących się strwożonych jego towarzyszy i wiązano im ręce i nogi. Grad strzał posypał się w pogoń za trzema żołnierzami, którzy opuściwszy plac potyczki, szukać chcieli ratunku w szybkości koni swoich, których naymłódszy z nich trzymał za cugle. Lecz przeznaczenie skazało ich na śmierć. Ten, co trzymał koni, w osłupieniu patrzał na krwią oblanego towarzysza, na groźną bandę, jakby z pod ziemi wyszłą, na czarnego rycerza, i ulegając nieprzezwyciężonemu przestrachowi, ścisnął ostrogami konia i puścił się w dół drogą, uprowadzając w haniebney ucieczce jedyny środek ocalenia towarzyszy swoich.

„Falkensztcyner! żywo ścigay tego zająca; on do nas sprowadzi nieproszonych gości!” krzyknął Hrabia Hakelberg, bo on to był w postaci czarnego rycerza. Rycerz w jasney zbroi pędem wiatru poleciał za zbiegiem, oba zniknęli z oczu. Czarna banda skończyła robotę; jezdzcy i powoźnicy leżeli martwi albo powiązani; wtedy Hakelberg, lekko skoczył z konia, zbliżył się do

mieysca, gdzie stary towarzysz ostatnie wydawał tchnienie, a kupcy ze drżeniem oczekiwali rozstrzygnienia swego losu. Hrabia odkrył hełm.

Twarz jego blada nosiła wyraz męzkiey piękności. Nie było dzikości w rysach szlachetnych; przyćmione tylko były czarną kędzierzawą brodą, a gęste, szerokie brwi nad dużemi ognistemi oczyma, leżały jak chmury, około jasnego xiężyca.

„Czy to ty, mężny Leopoldzie? Ciebież to widzę? A co, czy celną ma ręk mòy Günther?" zapytał rycerz umierającego żołnierza. „Nie spodziewałem się tak rychło spotkać się z tobą na drodze. Sądziłem, że jesteś przynaymniey piérwszym sokolniczym tłustego książęcia, za to, że nad Ibergskim strumieniem, tak zręcznie z tyłu schwytałeś sokoła. Nie prawdaż, staruszku, że gdyby mòy książe nie przeszkodził wam, radzibyście oślepili sokoła i oberznęli mu pazury. Zle, bracie, służyć książętom. Byłeś i jesteś prostym Towarzyszem woyskowym, a całą twoją nagrodą będzie to, iż posłużysz za bankiet dla sępów, i kruków, którzy już teraz zlatują się skosztować twego mięsa!"

Siwy żołnierz, spłynął już krwią, lecz na te słowa otworzył oczy, a ręka jego z konwulsyyném poruszeniem, szarpała skrwawioną ziemię.

„Chełp się, chełp się czynem, godnym rozboynika!" rzekł słabym głosem konający. „Urąganiem przerywasz ostatnią modlitwę zamordowanego, który gotuje skargę na ciebie przed Bogiem! Nie długo cieszyć się będziesz zbojeckiém powodzeniem. Przyydą potężni i zburzą twoje siedlisko. Jak ślad wiosła w morzu i twoje ślady

zniknął. Hakelberg, z myślistwem swojém, będzie postrachem dziatwy i pozostanie w powieściach wędrowników. Złość i żal niewczesny ciebie ucisną. Straszliwie Wszechmocny mści się za krew i wiarołomstwo! Bądź przeklętym Heynicho, zbrodniarzu, krzywoprzysięzco!" Starzec podniósł się raz jeszcze, dreszcz silny przebiegł żylaste jego członki, ostatnie tchnienie życia dobyło się ze ściśnionych piersi, i na krwią zbroczoney trawie leżał już trup martwy.

Przez kilka chwil patrzał Hrabia w milczeniu na nieboszczyka. „Złowieszczy puszczyku! prawdę-li ty mnie przepowiadasz?" półgłosem zapytał nakoniec; lecz odpędzając przykre myśli, śpiesznie obrócił się do jeńców. Jak pasterz na swoje stado, przez wilków drapieżnych zniszczone, tak starszy kupiec w niemey żałości spoglądał dokoła. Cofnął się nieco, gdy straszny nieprzyjaciel obrócił się ku niemu; ale rozpaczą ośmielony, zapytał zuchwale: „Tak więc, Miłościwy Pan jesteś Hrabią von Hakelberg? Tym samym, który przed sądem rycerskim wyrzekł się wszelkiego rozboju, a teraz gardzi słowem uczciwém i szczęściem wiekuistém, naruszając swoją przysięgę?"

Z podziwieniem, a razem z politowaniem spóyrzał rycerz na kupca. „Tak, tak, stary łapigroszu," odpowiedział z gorzkim uśmiéchem, „ja jestem ten sam Heynicho; lecz przysięgi nie naruszyłem bynaymniey. Zaprzysiągłem nie dobywać miecza na drogach i teraz go niedobywam. Tam, na Herlingerburgu, na wilgotney ścianie rdzawieje wierny móy towarzysz; ale ten sierzp, nad który ostrzeyszego i strasznieyszego sam A-

niół śmierci nie posiada, groźny jest dla bogatych i silnych, karze chełpliwych służebników książęcych, żywi walecznych przyjaciół, a mści się za mnie nad światem i zawistnikami! Czy nie łaska poznać się z nim bliżey?"

To mówiąc, dobył do połowy straszny oręż, struchleli kupcy, bledniejąc, cofnęli się nazad.

„Wnosząc z herbu i flagi, jesteście z Frankfurtu" rzekł rycerz spokoyniey. „Miasto bogate, wykupić was może, a tym czasem będziecie moimi gośćmi w Herlingenburgu. Do roboty, waleczni towarzysze! Jeńców po parze, trupów w piérwszą jamę, bryki w las, zasieki niech drogę zamkną za wami. Günther! za twóy strzał mistrzowski, daruję ci konia zabitego żołnierza. Siąday, ze mną pozostaniesz; będziemy zasłaniać odwrót i zobaczym co się stało z naszym Falkenszteynerem."

Wszystko, podług rozkazów wodza, ściśle zostało spełnione, z pośpiechem oczyszczono drogę: krwawe tylko ślady widać było na tém mieyscu, gdzie Heynicho z myślistwem swojém pozostał. Jezdzcy bacznie obeyrzawszy się dokoła, cicho ruszyli ku Gandersheymowi.

---

Słońce nachylając się już ku zachodowi, złociło szczyty Grubenhagena i Iberga. W dole, u spodu gór, rozściełały się cienie, i białe rosą zmoczone pasy odlewały się srébrem na błotnistey, mchem zarosłey dolinie.

Na Kolbergu rozlegał się dzwon kaplicy, z nim zléwał się harmoniyny głos dzwonków, za-

wieszonych na opasłych mułach, które ciągnęły pod górę ogromną kolebkę. Powierzchowność jey była wspaniała; okna, czerwonemi firankami zasłonione, ukrywały znaydujących się wewnątrz; ciężkie, pozłacane ozdoby, z mitr, krzyżów i tym podobnych rzeczy złożone, upiękrzały boki i drzwi kolebki, liczną strażą otoczoney. Naprzód jechał Rządca klasztoru na Wibrechthausenie, Hildebrand Rhumann; znany w narodzie pod nazwiskiem żelazney ręki.

Spokoynie siedzieli jezdzcy na ciężkich klasztornych koniach, jakby ufni w liczbę swoich, lub w doświadczone męztwo naczelnika, który, w jasnym pancerzu, z dwukolorową, błękitne z żółtém przepaską, z szerokim toporem u siodła, przewodniczył im na silnym koniu.

Leniwie ruszał się powóz po drodze, żołnierze głuchym głosem śpiéwali pieśń świętą, przy dźwięku dzwonu w kaplicy: gdy w tém nagle na zakręcie dwóch nieznajomych stanęło przed nimi, którzy przy niespodzianém spotkaniu zatrzymali się i zasłaniali, jak się zdawało, dalszę drogę.

Jak gdyby w trzodzie, która niespodzianie spostrzegła drapieżnego źwierza, zrobiło się między klasztornymi żołnierzami bojaźliwe poruszenie. Hymn ucichł. Wszyscy wyprostowali się na koniach, z najeżonemi naprzód kopijami cisnęli się około powozu, oczy wszystkich zwrócone były na przewodnika. Tak młode cielęta, na widok wilka, kupią się wkoło, a wystawując rogi, z żałośliwym rykiem patrzą na starego byka, stojącego na przedzie i zwracającego grube i twarde rogi ku nieprzyjacielowi na obronę trzody.

Hildebrand zmieszał się także z razu, ale nie przez bojaźń: natychmiast poznał czarnego rycerza po znaku na hełmie, i po nadobney a kształtney jego postawie; nie mógł atoli zgadnąć przyczyny samotnego jego zjawienia się w tém mieyscu. Hrabia Hakelberg, onto był bowiem, z swoim strzelcem, jak marmur niewzruszony stał pośród drogi, rumak jego parskał i bił kopytem o ziemię z niecierpliwości. Zdawało się, że na rycerzu, ten powóz duchowny, silną strażą otoczony, mocne uczynił wrażenie. Okropne przeczucie ścisnęło pierś jego i wszystkie myśli przyćmiło. Ręce mu drżały; z konwulsyynćm poruszeniem napiął cugle tak mocno, iż biédny rumak z bolu wysoko słupem stanął. Zapomniał Hrabia, iż jest sam jeden, zapomniał na mężnego naczelnika orszaku, stał jak wryty, a oczy mu się iskrzyły przez kratę hełmu, jak żar ognisty śród nocy.

Zwolna przybliżał się ku niemu Hildebrand z swoją karawaną; nie spuszczał on przyłbicy, nie tknął się topora, ale wyćwiczonym, do głębi duszy przenikającym wzrokiem, uważał naydrobnieysze poruszenia znanego mu rycerza; zdawało się, że chciał czytać w jego sercu, przez stalową korę okrywającą pierś walecznego.

Bardzo już blisko nasunął się orszak na parskającego rumaka Hrabiego: Hildebrand wstrzymał cugle. Hrabia cugle opuścił; konie rycerzy, jakby ponawiając dawną znajomość, zapienionemi nozdrzami wietrzyć się wzajem poczęły. Heynicho spokoynie podniósł przyłbicę przed milczącym, ale bystro patrzącym na niego przeciwnikiem.

„I tak was już poznałem” rzekł Hildebrand, „kto raz widział Hrabiego Hakelberga, chociażby i na turniejach, ten łacno pozna go wszędzie i w każdym stroju.” — Żywy rumieniec wystąpił na blade, gęstą, kędzierzawą brodą zarosłe jagody czarnego rycerza. „Na turniejach?” rzecze; „już więc i ty, dobry staruszku, nauczyłeś się żarcików od popów i książąt! Mniemasz mieć kości żelazne, gdy wyzywasz na się bawołów?”

— „Ciszey młodzieńcze!” odparł śpiesznie Hildebrand, żałując nieopatrznie wyrzeczonego słowa, „przez Nayświętszą Pannę przysięgam, żem nie myślił was obrazić.”

— „Przysięgasz przez Nayświętszą Pannę?” przerwał Hakelberg. „Tey chyba tylko wierzę przysiędze: to moja przysięga, nie naruszę jey, nawet dla wiekuistey szczęśliwości. Ale teraz ja ciebie zaklinam w imię Bogarodzicy: powiedz, kogo wieziesz do Wibrechthauzen?

— „Mnie zostaw pytania!” z niechęcią odpowiedział Hildebrand. „Ta droga pod moim zostaje dozorem, a poruczenie ściąga się do mojego Biskupa. Heynicho! z boleścią słyszałem o postępkach twoich. Tyż to jesteś tym walecznym, szlachetnym młodzieńcem, który ze mną razem oswobodził księcia Henryka z rąk zajadłych Arabów? Tyż to ów kwiat rycerzów gwiazdy, co wspaniałością zawżdy i wszędzie, przechodził spółtowarzyszów swoich, jak okazała róża ozdobą przewyższa wszystkie polne kwiaty? O! jakżeś ciężko upadł, nieszczęśliwy! Powróć, póydź do mego schronienia, a dawnym obyczajem z otwartością przeley troski swoje w to szczérze cię kochające serce. Naygłębszy chyba smutek i

zbolałe jego dziécie, okropna rozpacz, zdołały pogrążyć uczucia twoje w otchłań złości, uzbroić ludzkość w krwiożercze okrucieństwa szpony!"

—„Zgadłeś do razu!" z cicha powiedział Heynicho. „Ale rachubę przestępstw pozostaw winowaycom. Rosa tylko mogiły zmyć potrafi żywot czarny, a dotąd nikt nie słyszał, żeby podobna było powrócić do czczey przeszłości!"

—„Wiara i skrucha są odrodzeniem się występnych" odparł Hildebrand. „Zamiast żalu za grzechy twoje, ty jak herszt zbóyców czatujesz po drogach. Odpowiaday: co cię wywiodło ze skał twoich? co tu porabiasz? jakie masz nowe zamysły?"

Jak błyskawica, zaiskrzyły się oczy Hrabiego pod hełmem. „Wszystko ci opowiem, stary mieczniku" rzekł, zniżywszy głos. „Ty jeden zawsze byłeś względem mnie uczciwym, tam nawet, na wiarołomném połuduiu. Usłyszysz moje wyznanie; będę ci posłusznym, póydę za tobą, jak syn marnotrawny za oycem; ale naprzód i ty zadość uczyń mey prośbie, piérwszey, jaką w przeciągu dwóch lat zanoszę do człowieka. Powiedz, kogo prowadzisz do swego klasztoru? Musisz odpowiedzieć, jeśli choć trochę masz litości nad mojém cierpieniem; przysięgam tobie, że pokóy i szczęście duszy mojey zawisły od twey odpowiedzi; możesz mówić śmiało, bo cóżkolwiekbądź zamyka ten powóz, jestem samowtór, ty zaś masz ze dwónastu zbroynych, których kopije będą dla mnie nieprzystępnym murem.

— „Nie pytay się mnie dłużey!" z gniewem rzekł Hildebrand: „Rządca klasztoru Dziewiczey góry nieobowiązany zdawać sprawy przed świe-

ckim, choćby ten nosił i purpurę, a tym mniey przed prostym rycerzem, który wałęsa się po drogach w stroju, co podobnieyszym go czyni do mary, niż do żyjącego człowieka!"

— „Niech więc Bóg będzie sędzią naszym!" piorunującym głosem krzyknął rozdrażniony Hrabia. „Nie ruszę z mieysca, dopóki się nie dowiem, co macie w tey złotey klatce; jeżeli jedziesz na Dziewiczą górę, wiedz, że droga idzie przeze mnie i przez mojego konia!"

Damy duchowne, siedzące w kolebce, doznawały niespokoyności z przyczyny zatrzymania się i oporu. Widać to było po poruszeniach firanek. Teraz zaś, gdy głos Hrabiego rozległ się, tak silnie, nagle zerwała się czerwona firanka, a kształtna kobieta, w białém zakonném odzieniu, wysunęła się z okna, zrzuciła czarną zasłonę i ukazała blade, anielskie oblicze.

— „Heynicho! Heynicho!" zawołała „ratuy mię teraz, albo bądź zdrów na wieki!" Silnie oderwała ją od okna, druga podżyła mniszka, a czarujące zjawisko znikło jak senne widzenie. Hrabia zrozumiał te słowa. Jak u zranionego na łowach dzika, oczy krwią mu zabiegły. Przez chwilę stał nieruchomy, skamieniały, w mgnieniu oka, zwrócił konia swojego, a wołając: „Ryxo, ja tutay!" rzucił się z wściekłością do powozu. Strwożeni jezdzcy do samych osi cofnęli się, bojaźń mimowolnie najeżyła szereg kopii na spotkanie napaśnika. Kopija Hrabiego skruszyła się o metallową powłokę kolebki; koń jego, odniosłszy dwanaście ciosów kopii, wspiął się słupem, padł i zrzucił swego jezdzca na drugą stronę piaszczystey drogi. W chwili, zerwał się z ziemi Hrabia;

zapamiętały dobył miecza podobnego do sierzpa i z zajadłością rzucił się na kopiyników. Jak drzazgi latały po powietrzu ich drzewce pod ciosem ostrego miecza; zranione konie rzucały się w prawo i w lewo. Był już on u kolébki, chwycił już za czerwoną firankę.... wtenczas, jak piorun topor Hildebranda ugodził w czarny jego szyszak. Zachwiał się rycerz, cofnął się kilka kroków i padł bez zmysłów na ziemię.

„Sameś tego pragnął, szaleńcze!” z politowaniem rzekł Hildebrand, „krew twoja nie na mnie, lecz na tych, co cię zgubili. Naprzód, daley do klasztoru!” krzyknął, usłyszawszy, jak myśliwiec Hrabiego, zerwawszy róg u jego pasa wiszący, na całe gardło trąbić zaczął. „Żywo naprzód! myśliwcy czarta pancernego pewnie są niedaleko; wy, tchórze, od jednego niemogliście się obronić, cóż będzie, gdy zza każdego drzewa stanie jeden zbroyny.”

Spiesznie, ruszył cały orszak. Niektórzy z jezdzców, ciskali kopije na trąbiącego myśliwca; ale pociski ich nieszkodliwe: bo ich poruszenia podobne były do ucieczki przed martwym trupem, a przywiązany sługa nieuszkodzony pozostał przy panu, trzymając go w swoich objęciach.

---

Cichość głęboka nastąpiła. Po upadku rycerza krzyk w kolebce stłumił się powoli; ostatni jezdziec skrył się za pagórkiem krzakami porosłym; Hrabia leżał bez czucia.

Myśliwiec w rospaczy głośniey jeszcze trąbił, niż wprzódy: nikt atoli na głos jego nie przybył. Westchnąwszy, rzucił wreszcie róg srebrny, spuścił zlekka głowę, jak się zdawało martwe-

go pana na pagórek i odpiął strzaskany hełm. Potężny raz topora Hildebranda skruszył jeden róg srebrny u hełmu, ale też na nim i zatrzymał się; tylko spuszczona przyłbica rozpadła się na dwoje i wisiała na boku. Na bladey twarzy, nie widać było ani kropli krwi; skroń tylko nabrzmiała, a puls bił bardzo słabo. Smutny myśliwy przytulił usta swoje do ust Hrabiego, chcąc tym sposobem natchnąć w' niego życie. W tém dał się słyszeć głośny tentent koni. Z pędem przyskoczył Falkenszteyner na zapienionym koniu.

Jak Atalanta, by zatrzymać w biegu spółzawodników swoich, złote jabłka ciskała za sobą, podobnież młody żołnierz z Gietyngi puszczał jednego po drugim z uprowadzanych koni. Falkenszteyner chociaż ich nie łowił, przymuszony był jednak zbaczać z drogi, na którey spłoszone konie były mu zawadą. Dognany już prawie Gietyngczyk zwrócił się chyżo na wąską ścieszkę wiodącą do Eynbek; widząc i tu nieprzyjaciela za sobą, skoczył z konia i wpadł w wąwoz gęsto zarosły, gdzie ani koń, ani rycerz ścigać go nie mogli. Rozgniewany Falkenszteyner złorzecząc niepomyślnemu zdarzeniu, schwytał parę koni, a prowadząc zdobycz swoję za sobą, jechał powoli nazad. Gdy już słońce zaszło, nagle obił się o jego uszy dźwięk dobrze mu znajomego rogu: jak strzała przeto poleciał w tę stronę.

Powziąwszy o wszystkiem wiadomość od Günthera, w równey jak on zostawał niepewności. „Naszych teraz ani dognać”, mówił Günther. „Jeśli zdobycz jaka wpadnie im w ręce, tak się jey uczepią, jak ta szyszka ostra u mego wełnianego kaftana; u nich dopiero w głowie bankiet,

jaki Hrabia w podobnych razach zwykł sprawiać. A tymczasem kapturny rycerz zgromadzi wszystkich ludzi swoich, złączą się z niemi od razu Nordheymczykowie, a nim upłynie godzina, przyydą tu oni, dobiją pana mojego albo urągać się będą nad umarłym."

„Naylepszym mógłby bydź dla nas przytułkiem Harchorn" rzekł Falkenszteyner, „ale Dudo zły na nas, osobliwie na Heynicha, za podział zdobyczy z jarmarku Holdesheimskiego, także za ładną pielgrzymkę, którą Hakelberg wybawił. W zamku jego gorzey nam będzie niż tu na drodze: ja myślę, naylepiey ranionego położyć na twego konia, a nim noc nadeydzie, zawieść w głąb lasu, ile można naydaley."

Strzelec zaczął już urządzać na szerokim grzbiecie poymanego konia pościel z czapraków: w tém Hakelberg westchnął ciężko, otworzył oczy, a nieruchomy wzrok jego zastanowił się na towarzyszach, którzy z radości krzyknęli.

Przychodząc do zmysłów, dotknął się naprzód głowy; ciekawie spóyrzał na mieysce, na którém leżał; i skwapliwie chwycił za perły wiszące na szyi. Kilka pereł upadkiem jego rozgniecionych zostało, ich odrobiny spadły mu na rękę. Smutnie potrząsając głową, spoglądał na nie. „Wszystko zginęło!" dodał pocichu. „Życie zwiędniało, nadzieja strzaskana, jak te nieocenione ozdoby."

„Dokąd mamy jechać?" z naleganiem pytał się Falkenszteyner. „Nieszczęście niechybne: jesteś raniony; oni powrócą i porwą ciebie!"

„Niepowrócą!" żałośnie odpowiedział Heynicho. „Po cóż mają powracać? Serce moje trzymają w kaydanach; szczęście moje pod ich toporem;

w ich ręku zakład mojey nieczynności, widok Hakelberga nie straszny już dla nich. Zasłonę zakonną widziałem na małżeńskim mém łożu, ona będzie śmiertelném pokryciem, pod którém Heynicho wkrótce zaśnie na wieki ... Podnieście mnie; żadnego bolu nieczuję na ciele, potrafię utrzymać się na koniu. Powoli pojedziem ku pieczarom na Harcu, a noc zbliżająca się, nowe tam klęski może przyniesie."

Falkenszteyner i myśliwiec w podziwieniu spóyrzeli się na wzajem, posłyszawszy niezrozumiałą dla siebie mowę; ile można atoli nayśpiieszniey, dopomogli Hrabiemu siąśdź na konia, a podtrzymując z obu stron zaledwie mogącego siedzieć, ruszyli ku Kolbergowi, wznoszącemu, po lewey stronie drogi, ku złocistym wieczornym obłokom, białe swoje szczyty, wysokiemi sosnami gęsto przyozdobione.

---

Duszący upał letni panował w lasach Kolbergu, którego żółtawe wapienne szczyty, jak olbrzymy wznosiły się nad drzewami. Góra ta, naywyższa w całey okolicy, daleko rozszerzała swoję posadę. Gmin był tego mniemania, iż w osobliwszych jey pieczarach miały siedlisko górne karły, z rodzaju gnomów, strzegący skarbów Harcu od złych duchów, a także złych synów ludzkich.

Z jedney strony na urwisku góry stała kaplica ś. Józefa; złoty jey krzyż, podług zdania wieśniaków był obroną przeciwko złości pomienionych karłów. Chatka, z dzikiego kamienia zbudowana, mchem i gałęziami pokryta, służyła za mieszkanie dla pustelnika, który pełnił służbę Bożą w kaplicy. Po odbytych modlitwach odpo-

czywał on dopiero u drzwi: z podziwieniem postrzegł zbliżających się kamienistą drogą trzech jezdzców. Bez obawy, z upodobaniem przypatrywał się lśniącemu się pancerzowi, na którym odbijały się ostatnie zachodzącego słońca promienie, oraz tey pewności, z jaką wyćwiczony rumakFalkenszteynera,do gorszych jeszcze dróg nawykły, przesadzał śmiało krzaki i kamienie, i niecierpliwie wyprzedzał dwóch swoich towarzyszy.

Pustelnik,był to zdrowy, czerstwy półwieczny mężczyzna;na jego twarzy nie znać było śladów umartwień i postu.Miał on bliską znajomość z okolicznemi rycerzami, i na ich sąsiedztwo bynaymniey się nie żalił. Często, od nieprzyjacioł ścigani, u niego znaydowali przytułek i chronili się z łupami w dziewięciu kryjówkach pieczary karłów. Nigdy go niefrasowały sprawy sąsiadów, milczał przy wszystkich śledzeniach: bo mu hoyni rabusie ochoczo dawali w podarunku nie jedną beczułkę wina, lub też co podobnego, czém on bynaymniey nie gardził. „Dobry wieczor, oycze Hieronimie! wzorze wszystkich pustelników!” zawołał Falkenszteyner, „czy nie masz u siebie gości?”

„Ani żywey duszy” odpowiedział pustelnik idąc ku niemu na spotkanie „nie masz, mówię, nikogo, prócz biedney mojey głowy, głodnego żołądka, żałośnych myśli i głuchey samotności, któraby wiecznie tu panowała,gdyby jey niekiedy wilk wyjący albo spłoszony jeleń nieprzerywał.”

„Prawda, dawnośmy już tu byli” rzekł Falkenszteyner. „Tłusty Xiąże Gietyngski sam jeden chce pobierać myto od kupcow niemieckich, a dla nas górali nic niezostawuje; z wielką ostró-

żnością musimy spuszczać się na dół, i dziś nic z sobą nieprzywiezliśmy, a prosimy ciebie o gościnność na całą dobę, a może i więcey: ma się rozumieć za gotowy grosz. Nasz strzelec ma w torbie flaszę wina dobrego, ale to za mało dla cztérech, których krtań pragnie odwilżenia."

Pomimo niepocieszmego zagajenia, pustelnik jednostaynie był grzecznym i uprzeymym. „Szlachetni rycerze", rzekł wesoło „Waszmość tak często napełnialiście moję piwniczkę, iż grzechem byłoby okazać wam niechętne oblicze za to, że raz jeden zapragnęliście ją nieco opróżnić. Wiem ja dobrze, że nim czwarte weydzie słońce, czeladź wasza sowicie nagrodzi biednego Hieronima, który jednemu słowu waszemu więcey wierzy, niżeli pieczęciom woskowym wszystkich biskupów."

„Przedziwnie!" śmiejąc się rzecze młody rycerz, „gdyby wszyscy pustelnicy byli podobni do ciebie, chętniebym przystał do waszego bractwa. Lecz niewiesz jeszcze, że dzisieysza nasza przygoda może cię pozbawić spokoynego twego zacisza. Topor rządcy klasztoru Wibrechthauzeńskiego bliską zabrał znajomość ze łbem mego towarzysza, a dopiero pewnie powstało całe plemię mnichów niemieckich na jego poymanie. Być może, i tutay nos wetkną, a wtedy los twóy nie lepszy będzie od naszego."

„Zobaczemy, zobaczemy" odparł z szyderskim uśmiechem pustelnik „niech no polazą na szczudłach swoich po tey wązkiey ścieszce; a weyść po zachodzie słońca do pieczar nie odważy się żadna chrześcijańska dusza od Gietyngi aż do Einbeku. Daleyże z koni, moi panowie, niegardźcie chlebem a solą naybiednieyszego w całey okoli-

cy, naybiednieyszego mówię: bo wszystką własność moję stanowi moja skóra, a ta i na taraban się nie przyda."

Rycerze przyjęli zaprosiny, zsiedli z koni, pozdeymowali pancerze i usiedli, żeby odpocząć, a tym czasem żwawy gospodarz chował zbroje po kątach lepianki, koni postawił w sieniach i dał im otrębi, siana i wody. „Te dobre stworzenia nie będą zapewne gniewać się za to, iż u mnie jednę noc przepędzą nie na tak sytnym karmie, jaki im dają w waszych zamkach" dodał śmiejąc się pustelnik. Potém z ukrytey baryłki nalał do dzbana, dał do rąk strzelcowi torbę z żywnością, wziął lampę i krzesiwo, i poprowadził gości swoich w las, na górę, do samego otworu straszney pieczary karłów.

Jakby w pałacu jakiego książęcia duchów, dziewięć oddziałów pieczary łączyło się z sobą zębatemi otworami, a oyciec Hieronim, w swobodne godziny, przykładał także rękę, by przyrodzenie ku wymysłom ludzi nakierować. Naprzód był przysionek, w nim ławy na około; daley, podobieństwo wielkiey sali, kamień na środku postawiony, zastępował mieysce stołu, a dwie stare kłody, stołków dla gości; rogi jelenie, gałęzie sosnowe i kły dzików były ozdobą ściany. Daley następowały, izby sypialne, tu w naturalnych framugach leżała miękka pościel z mchu i liści, którą często przebijać należało, gdyż w niey zaraz węże i inne płazy, gniazda sobie robiły. Ale ze szczególném staraniem przybrał pustelnik mały loch średni, ze wszystkiemi innemi łączący się. Jak w kościenicy ułożone tam były w kupach ludzkie kości. Nawpół zniszczone trupie

głowy ze wszech stron wyszczerzały zęby, a z wielką pracą złożony cały prawie skielet stał u głównego wchodu.

„Wszelki duch Boga chwali!” wrzasnął sługa Hrabiego, idący naprzód z ogniem, „jest któś tutay! Do broni, panowie!” Falkenszteyner odepchnął go, a trzymając za rękojeść miecza naprzód poszedł: lecz pustelnik śmiejąc się głośno, zatrzymał go za rękę. „Nie trwożcie się, zacny rycerzu, te źwierzęta nie kąsają. Zgoła mi wyleciało z głowy, że dawno was już tu niebyło, a toćbym nieomieszkał was uprzedzić o swojey straży. Przed kilką miesięcy, nieszczęście tu przyniosło z pół tuzina hultajów; byli to dzicy, nie okrzesani ludzie, niechciałem mieć przeto z nimi do czynienia; i jam też im nie przypadał do serca. Noże ich zanadto długie i ostre były dla mnie, nie mogły mię zachęcać do blizkiego pokumania się z nimi, a przynaymniey do podziału moich zapasów zimowych. Szczerze zatém chciałem się pozbyć gości nieproszonych. A w tém mi przyszedł na myśl sklep pod kaplicą, oddawna już po jakieyś bitwie kośćmi napełniony. Razu więc jednego, gdy ci hultaje stąd wyjechali, nastawiłem im towarzyszy, a wnet wpadli jak w wodę. Na drugi dzień po tém przybyło dwóch, jak śmierć wybladłych: spowiadali się i dali jeszcze na ofiarę. Otoż to tacy ludzie! Zawsze człowiek jest nayzłośliwszym na ziemi stworzeniem; jeden drugiego chciałby w łyżce wody utopić; jeżeli siłą lub mieczem przemódz nie zdoła, to przynaymniey chytrością albo jadowitém słowém; nie mówię już o męczarniach jakie z jego przyczyny inne stworzenia ponoszą. Ale wół podupadły pod jarz-

mém, koń sił pozbawiony, jeleń zaszczwany ... wszyscy oni mają głos wołający o pomstę."

,,A to u tego dziada język jak na kołowrocie! Ja chcę pokoju, pokoju tylko, chociażby wiecznego" mruknął z gniewem Hrabia Hakelberg; ale miarkując niechęć, ścisnął rękę strwożonego pustelnika i dodał ciszey: ,,Nie lękay się, dobry oycze, masz słuszność za sobą; prawda: człowiek jest naygorszém stworzeniem, a im silnieyszy, tym głębiey zapuszcza ostre pazury w bezbronnych bliźnich swoich."

,,O Boże!" rzekł z westchnieniem pustelnik, wzruszony słowami i głosem Hrabiego. ,,Cóż się przytrafiło takiego, co mogło zachwiać silnie tak dzielną, męzką i młodą duszę!" Rycerze nic nieodpowiedzieli i szli daley w głąb pieczary. Pustelnik przygotował dla nich wieczerzę, przebił pościel, zawiesił lampę i poprowadził z sobą strzelca ku kaplicy dla trzymania straży podczas nocy. Rycerz Sierzpa rzucił się na łoże; Falkereszteyner spełnił puhar, a potém obay prowadzili z sobą rozmowę, którey treść następująca, posłuży czytelnikom ku wyjaśnieniu ciemnych dotąd szczegółów życia naszego bohatera. (*Dokończenie nastąpi*).

---

## WODY,

wyjątek z poematu J. Delilla. z *Pieśni IIIciey*.

---

Gdyście więc, ręką moją, o! wy dzikie skały
Wprzód nagie, dziś bogato przybrane zostały,
Otworzcież mi podziemne swych źródeł tayniki!
A wy rzeki, jeziora, powabne strumyki,
Ożywiającą świeżość roznieście do koła!
Wasz urok czarujący cóż zastąpić zdoła?

Zdala on wabi, zbliska mile oko cieszy,
Każdy naypóźniey wraca, choć wprzód ku wam śpieszy;
Nurt wasz ziemię użyźnia, niebios kąpie lica,
Głos ucho nam czaruje, widok wzrok zachwyca.
Oby idąc za wami mogły pienia moje
Obficiey jeszcze płynąć, niźli wasze zdroje!
Lżey, niż powiew z waszemi igrający wały!
Jak wasz szmer mile, czysto jak wasze kryształy!
A ty! którego ręka rządzić niemi będzie
Szanuy ich skłonność, wymysł miey nawet na wzglę- (dzie.
Patrz! jak ten strumyk w wolnym i łagodnym biegu
Błędne drogi swojego obeymuje brzegu:
Jakimże prawem, jego niepodległe wody
Jego nurt lekki miłey pozbawisz swobody?
Jakąż mu nową piękność twe dadzą marmury?
Obacz! jak zdobna tylko wdziękami natury,
Z rozpuszczonym warkoczem, w niedbałey odzieży
Lekka pasterka idzie, podskakuje — bieży ....
Cały jey wdzięk jest w wolnym ruchu i prostocie.
Teraz patrz wśród Seraju na tę piękność w złocie,
Próżno ci zaćmi oczy, napróżno wspaniale
Jey postać niewolniczą wschodnie zdobią szale,
Jakiś przymus, ukrytey tęsknoty cień słaby
Przebija się w jey rysach, i niszczy powaby.
A więc zostaw swobodę wodzie ulubioną,
Lub jey niewola w piękność niech będzie zmienioną.
Tak choć wdzięczne Morela wymównego pióro
Silnie do nas za prostą przemawia naturą,
Lubię jednak, gdy w szczupłym ściśniona otworze,
Burzy się woda, szumi — wytryska ku górze —
Fontanna. Na widok tych fal bystrych co z ziemi łożyska
Wydobywa kunszt śmiały, i pod niebo ciska

Z pychą sobie człek myśli: »jam te stworzył dziwy«
I sam w nich sztukę swoją uwielbia szczęśliwy.
Niechay więc one zdobią możnieyszych ogrody,
Lecz oddal te fontanny z wieśniaczey zagrody
Które niezdolne loty unieść się śmiałemi,
Pokażą się i padną na stopę od ziemi —
Mało na tém — niech jeszcze i wszystko, i wszędzie,
Tey wystawney ozdobie odpowiedném będzie,
I jakby w czarowniczym jaśnieje uroku.
Niech się zdaje przychodnia zdziwionemu oku,
Że od niechcenia, jedném dotknięciem swey ręki
Cudowna wieszczka wszystkie te zdziałała wdzięki.
Tak w Boskich gajach Saint-Cloud, zaledwie zdumiały,
Zdołasz pyszney fontanny poścignąć lot śmiały.
Z podskokiem jedna fala na drugą upada,
Ich dzwiękom gay, powietrze, grota odpowiada.
Miększa tam trawa, chłodsze zefiru powiewy,
Z szumem się wody, ptasząt rozlegają śpiewy
A odświeżone drzewa z postawą wesołą
Błyszczące czystą rosą, chylą ku nim czoło —
Więcey prosta, a równie bawiąca źrenice
Kaskada dziksze niechay zdobi okolice.
Każby wielbi ją zbliska, rad jey słucha zdala,
Jey bystra, okazała, mieniąca się fala
Co upada, i razem zawieszać się zdaje,
Wdzięcznym szmerem ożywia łąki, skały, gaje...
Kaskada. Więc nią ozdob twóy ogrod — tylko twey kaskady
Nie podzielay równemi nieprzerwanie spady,
Cóż mi z tey, wszystkie można zliczyć kroki?
Która wrząc zda się z gniewu, swe jednak potoki
Z proga na prog, pod miarą jednostayną toczy.
Rozmaitość twe godna tylko bawić oczy,

Lecz różna swą postawą kaskada bydź może.
Wybieray ku swey chęci — Tu w nierówne łoże
Burzliwa woda z gniewem wrzące wały ciska
Leci—pada—grzmi—cofa—pieni się—wytryska...
A tam powoli tocząc kryształ przeźroczysty
Bez gniewu, bez łoskotu, nurt spokoyny, czysty,
Z cicha się w lazurowy obłoczek rozpływa.—
Z jakąż miłą rozkoszą wzrok się zapatrywa
Jak w popiętrzonych spadach, fala się przewraca,
Jak jey błękitne łono, jasny dzień pozłaca,
A z zielonością trzciny, z ciemnym tłem opoki,
Szumiąca piana śrebrne swe miesza potoki.
Zamiar więc twoich działań chciey rozważyć wprzó-
A te więcey powolne, lub burzliwsze wody, (dy.
Zawsze iść za twojemi gotowe rozkazy
Wdzięczne lub okazałe przedstawią obrazy,
Obrazy, których widok głęboko nas wzrusza!
Ah! wrażeń wody czyjaż niedoznała dusza?
Czy żywy nurt strumyka, lekkim, bystrym krokiem
Po nierównych kamykach, toczy się z podskokiem,
Czyli też gładkim płynem rozchodząc się rzeka
Miękkie bagno cichemi wodami powleka,
Czy burzliwym potokiem pędząc fala grzmiąca,
Z łoskotem o nadbrzeżne skały się roztrąca;
Zawsze swym biegiem trwożą, łagodzą, unoszą..:
Mówią że stałe szczęście, że miłość z rozkoszą,
I nadzieja; radości jutrzenka nieśmiała,
Niegdyś w pasie Wenery, ukrywać się miała.
Podobnież—opasując przedwieczną Cybele
I wody mieszczą przestrach, niepokoy, wesele....
Pomnę, gdy czarne troski; którym większey mocy,
Cienie posępney jeszcze dodawały nocy;

Zmysły moje przytłoczą, myśl pozbawią siły,
A bliskiego strumyka dzwięk posłyszę miły,
Biegłem, zwiedzałem, jego dobroczynne fale.
Ta świeżość, ten szmer wody błądzącey niedbale,
Wnet uśpi boleść moją, troski ułagodzi,
I znowu się wesele w mém sercu odrodzi.

*Ignacy Dworzecki.*

## ELEGIA
### pisana na zwaliskach Zamku w Szwecyi.
### (*przekład z rossyyskiego*).

Już zachód blednie szkarłatem spłoniony,
I słońce w morzu jasne kryje czoło;
Posępny xiężyc z zamglistey osłony,
Patrzy na wody milczące w około. —
Całe pobrzeże snem twardym uśpione!...
Tylko niekiedy na swych towarzyszy
Rybak zawoła: echo przebudzone
Niesie głos jego w pośrod nocney ciszy. —

Ja tu nad wodą na wierzchołku skały,
Gdzie święte cienie dąbrowa rozwiodła,
Błądzę samotny, i w marzeniach cały
Oglądam sławy i przeszłości godła:
Gruzy... wał groźny... rów zielskiem pokryty:
Słupy... most wątły na łańcuchach wsparty;
Odwieczne baszty z zębatemi szczyty,
I smutnych grobów szereg rozpostarty. —

Wszystko uległo silnemu zniszczeniu!...
Lecz nieśmiertelne mieszka tu wspomnienie;
I na grobowym oparty kamieniu,
Przychodzień w słodkie wpada zamyślenie!...

Tam, tam, gdzie bluszcz się po gałęziach wije,
I wiatr piołunu wyschły pień ugina,
Gdzie xiężyc blaskiem smutne baszty kryje,
I śrebrem jego lskni się wód głębina;

Tam niegdyś rycerz, plemie Odenowe,
W bitwach na falach morskich posiwiały,
Wyprawiał syna na zwycięztwa nowe:
Pańcerz pradziadów, miecz ciężki i strzały
Zranioną ręką na młodzieńca wdziewa;
I tak zawoła, drżące wznosząc dłonie:
»Niech go twa pomoc w potyczce zagrzewa!
O Boże woyny! miey go w swey ochronie!

A ty móy synu! na miecz oyców drogi
Przysiąż!... na Heli tajemnicę krwawą;
Że na zachodzie harde zniesiesz wrogi,
Albo polegniesz z równą przodkom sławą!»
I hoży młodzian miecz dziadów całuje,
I do swych piersi dłoń oyca przyciska,
I jako rumak, gdy bitwę przeczuje,
Wre, a w źrenicy łza radości błyska.

Biada, ach biada! wrogom jego ziemi!
Z ranną jutrzeńką żagle zajaśniały;
Pienią się morza, i skrzydły lekkiemi,
Jak lecą burze, łodzie poleciały. —
Już grom zatrwożył Neustryi doliny,
Pożar się w mglistym Albijonie szerzy;
Bez przerwy Hela w Walkallu krainy
Prowadzi tłumy poległych rycerzy.

Ach! śpiesz młodzieńcze, w oyczyste zagony,
Nazad się wracay z łupy wojennemi:
Już wiatr z pomyślney wieje tobie strony,

Mężu wsławiony zwycięztwy wielkiemi!...
Już Skald na wzgórzach biesiady gotuje;
Dęby w płomieniach, szumią w czaszach miody;
I miły goniec oycom oznaymuje
Zwycięztwa, z których morskie słyną Wody.

W cichey przystani, skoro błyśnie zorze,
Na ciebie twoja luba oczekuje:
Dla ciebie, łzami i prośbą w pokorze,
Oycowską dobroć Bogów przywołuje.
Lecz jak łabędzie za gęstemi mgłami,
Bieleją statki na falach niesione;
O! wiey łagodnie cichemi ustami,
Pomyślny wietrze, w żagle rozwinione! —

Flota u brzegu; wysiadł rycerz młody,
I za nim liczna obcych branek rzesza;
Ku niemu oyciec, dziewczę cney urody,
I Skaldów orszak natchniony pośpiesza.
Czuła kochanka łzy radości leje:
Ukradkiem wzniesie na młodzieńca oczy,
I znów je spuszcza; blednie, czerwienieje,
Jak xiężyc, kiedy go obłok powłoczy.

I tam gdzie głazy mech porasta siwy,
Szczątki z posady rozwaloney ściany,
Gdzie dzika sowa, gdy noc zaćmi niwy,
Z samotnym wiatrem jęczy na przemiany;
Tam spory puhar, śród huczney biesiady,
Spełniał bohatér, w swych przyjaciół gronie:
Tam wielbiąc męztwa celnieysze przykłady,
Na arfach brzmiały biegłe Skaldów dłonie.

Tam opiewano, strzał i mieczów szczęki,
Jak z trzaskiem gmachy od gromów runęły;

W pustych obszarach krwawych wojen jęki,
Jak wzniosłe grody ognie pochłonęły:
Tam chciwie starcy tych pieśni słuchali,
W ręku ich drgały czasze przepełnione:
I ze ślachetną dumą wspominali,
Dni swey młodości sławą uwieńczone.

Lecz wszystko dzisiay nocne kryją cienie,
Wszystko czas zniszczył ciosem silney ręki! . . .
Gdzie wprzód wyniosłe Skaldów brzmiało pienie,
Tam wiatr posępne rospościera jęki! —
Gdzie rycerz winem, słuszne oycu danie,
I Bogu płacił za boje szczęśliwe;
Tam utajone śpią dwie drżące łanie;
Lub słychać zwierząt wycia przeraźliwe! . . .

Gdzieżeście, Gallów gromiciele śmiali?
Straszni olbrzymi północney krainy! . . .
Coście z Roaldem dzielnym przebywali
Na wątłych łodziach obcych wód głębiny?
Gdzieście rycerze wielkiego imienia?
Wy groźne syny bojów i swobody!
Sród okropności wzrośli przyrodzenia,
Niebezpieczeństwy wiek hartując młody?

Polegli mężni! . . . Lecz badacz głęboki
Nie próżno głazów wymównych się pyta . . .
Iruny tayne na brzegach opoki.
Drogie pamiątki dawnych wieków czyta!
A rolnik blizki, na swóy kiy schylony,
Rzeknie do niego: »Synu obcey ziemi!
Tu drogi popioł pradziadów złożony;
Uczciy ich groby myślami świętemi! . . . »

*Ignacy Rewieński.*